

O niekorzystnych przemianach materii i tyranii grawitacji

Heca hecą, a latka lecą – zachnęła się rzewnie Żaneta z Żyrzyna. Przebóg! Toż to huk czasu od studiów, a tu znienacka, gdy jak co dzień sięgała po świeżo zaparzoną nescafé i croissanta, przyszła wieść o zjeździe całego rocznika. Jażń zawrzała od kolaży minionych zdarzeń jak po zażyciu ayahuaski. Ongiś, studiując w Gołębniku, tworzyli supertrio à la papużki nierozłączki. Ważysław z Horyńca-Zdroju miał żyłkę hazardzisty. Bez wahania, acz nie bez cholagogi, żywił się w hardcore’owym [hardcorowym] barze „Smok” – takim fast foodzie à rebours, wartym wszystkich gwiazdek Michelina. Modus operandi polegał w nim na chyżości konsumpcji i utrzymywaniu wzrokowego kontaktu z talerzem. Chwila nieuwagi, a już czyhające zewsząd sztucce dokonywały redystrybucji około trzytygodniowego bigosu, lokując go w trzewiach słabo uposażonych krakusów z półświatka. Żądanie zwrotu korzyści było haniebnym faux pas zagrożonym honorowym rękoczynem, więc nikt o byle bigos nie ważył się swarzyć. Raz jednak pewien zhardziały chojrak z ciupażką pod cucha, ani chybi eks-Podhalanin, miał czelność ustrzec swoje flaczki przed grabieżą. Na pewno do dziś mu one bokiem wychodzą. Nim zaczął degustację, z nagłą wyrósł przed nim krępawy rambo z Półwsia Zwierzynieckiego otoczony wianuszkiem mlaskotów. – „Ani się ważcie, żalosne lajkoniki!” – huknęła niby-juhas, półstojąc. – „Ty huncwocie, z chacharami zadzierasza? Wyny stąd!” – wycharczał zwierzyniecki andrus. Chwycił nowotarżanina wpół i tak nim wzwyż wywinął, że ladaco mimo braku łyżew wykręcił potrójnego toe-loopa, lecz zanim się złożył do lutza, oddał hołd sile ciężenia. Ważysław był depezem. Nosił ramoneskę i jeansy [dżinsy] Levi’sa z Peweksu [Pewexu]. Urodą mógłby dziś konkurować z George’em Clooneyem. Wybywał nad Sudół Dominikański, by w dolinie Rozrywki zaczytywać się w Rabelais’em i Joysie. Został ghostwriterem, ożenił się z pół-Honduranką i przepadł bez wieści, niestety, nie w Appalachach – w Górach Harcu [Harzu]. Z kolei Róża, supergrzegórzczanka, mieszkała ostatnio w Starej Łomży przy Szosie. Jako zagorzała fanka Classix Nouveaux ćwiczyła callanetics do rytmu new romantic. Marzyła o karierze w show-biznesie [show-businessie], licząc, że spocznie kiedyś na Pęksowym Brzyzku. Obstałowała sobie półkę na trofea: Super Wiktory, nagrody Grammy i – daj Bóg – Oscary. Dopadła ją jednak taka niemoc grania, z jakiej słyną „Organy” Hasiora na przełęczu Snozka. Skończyło się więc na nominacji do SuperJedynek, kilku wzmiankach w Super Expressie i megahejcie na Pudelku. Jednym słowem, miał być Mount Everest, ewentualnie Mont Blanc, a wyszła co najwyżej Magurka, i to w Beskidzie Małym. Porażka. Dzwony w kościele św. św. [Świętych] Piotra i Pawła zabiły na Anioł Pański, a Żaneta wciąż snuła wspomnienia, niczym osnuwik bądź snówek swe pajęczne sidła. Wtem zakłuł ją niepokój. Czymżeż sama się mogła pochlubić po latach? Ubożuchne portfolio: wiek balzakowski plus VAT i sieć zmarszczek niczym dorzecze Missisipi. Niegdyś o włos by została twarzą L’Oréal, dziś z aparycją wychuchola bycie „twarzą rajstop” zakrawa na mrzonkę. Na próżno stosowała lwipazur zwany czepotą i suplementy z pierzgi. Na nic zdał się wampirzy lifting z efektem push-up. „Bo to, pani kochana – zdradziła jej wizażystka – są zmarszczki grawitacyjne. By zyskać gładką twarz, trzeba wystrzelić się w Kosmos [kosmos].”

Krecia robota

Ośmioipółletni Krzyś rzucił plecak w kąt i wybiegł z chyżym wyżłem na pole. Na zewnątrz zdążyło już zszarzeć. Mimo mżawki krążyły w powietrzu hoże jerzyki i jaskółki. Chłopiec i pies niezrażeni przykrą aurą ruszyli żwawo spod klasztoru oo. [Ojców] Karmelitów na Piasku w kierunku Plant. Nim minęli Collegium Novum, ich uszu dobiegł hejnał z kościoła Mariackiego. W pobliżu Wawelu Krzyś przycupnął na ławce. Znienacka wyżeł się zjeżył i zaczął charczeć. Ławka zachybotła i runęła w czeluść. Chłopiec ocknął się współprzytomny w podziemnym korytarzu w towarzystwie chwackiego kruczoczarnego kreta.

– „Witam Cię, kawalerze. Dobrze, żeś zajrzał. Wierz mi, że jako ssak ryjówkoksztaltny powinienem mieszkać na Krecie, ale z greką jestem na bakier, więc to odpada.” Po tym wstępie gospodarz podziemi zaprowadził Krzysia do spichrza. „Spójrz na moje władczynię pierścieni” – rzekł, wskazując na przypominające ekoparówki, ułożone rządками dżdżownice. „Żywności mam w bród – skwitował, częstując gościa smoothie z rukwi i rosówek w kolorze lilaróż – mógłbym wieść rajske życie, gdyby nie uprzykrzone sąsiedztwo. Małe szczurzątko hałasują bezustannie. Żywią się w barach McDonald’s frytkami, które rozrzucają dzieciaki gatunku homo sapiens. Ohydnie przez to tyją i niechlubnie przegrywają w wyścigach. Od spijania resztek coca-coli chorują na cukrzycę. Stale, krzycząc, żądają trampek od Gucciego i najnowszych iPhone’ów, bo, sorry, ale te ostatnio znalezione w śmietniku wieszają się i smużą. A miniszczurki muszą w szybkim tempie na wypródki hakować, hejtować, lajkować, trollować i być online [online] na Fejsie. Trzeba być tępym dzwonem, żeby tego nie czaić. Więc, szczurzy ojczy, dwój się i trój! Grzebżeż w tych kontenerach, żeby pocieszki nie pozdychały z nudów! Wiesz, drogi koleżko, jak sobie to rozważam, to mi się nóż w kieszeni otwiera. My, krety, stosujemy zimny chów i nie musimy zżymać się na zrzędenie potomstwa.”

Zabrzączał budzik. Tato Krzysia wszedł do pokoju i powiedział: „Synku, kupimy ci dziś nowego smartfona i zjemy coś w snack-barze, okej [okay/OK]?” – „Nie, tatusiu, dziękuję – odparł Krzyś – nie chcę żyć jak szczur.

Autorka: dr hab. Mirosława Mycawka